№ 31 Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:	Adres Redakcyi i Administracyi:	PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie Kwartalnie. . . . . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10. Na prowincyi Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.	*Chmielna Nr 26.* Warszawa, dnia 20 Lipca (1 Sierpnia) 1891 roku.	We Lwowie i Krakowie Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30. W Poznaniu Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Widziałem ciebie.

Widziałem ciebie w balowej sali
Wśród pląsających par grona,
Gdy włos twój kruczy, jak wstęga fali,
Na śnieżne spadał ramiona.

Gdy otaczały ciebie róż koła
Jasną od świateł tysiąca,
A blask brylantów bił ci od czoła,
Niby promienie od słońca.

Piękniały słowa, miękły wyrazy,
Płynąc z ust twoich koralu...
I powiedziałem mało sto razy,
Że jesteś — królową balu!

* * *

Widziałem ciebie po dziennym zmierzchu,
Późną wieczoru już dobą —
Łódź twa płynęła po wody wierzchu
I płynął księżyc wraz z tobą.

Bielały fale jak puch gołębi,
Od silnych wiosła uderzeń —
Tyś się skarżyła jezioru głębi,
Kto inny słuchał twych zwierzeń.

Chciałaś wynaleźć cel życia smętny,
Być siostrą braci cierpiącej —
Wtedy uczułem ruch serca prędszy,
Niepokój w duszy marzącej.

* * *

Widziałem ciebie w majowy ranek,
Blask słońca spływał po tobie —
Na głowie miałaś z róż polnych wianek,
Białą sukienkę na sobie.

U piersi twojej drżał kwiat pierwiosnka,
Z ust dźwięków płynęła fala —
Słuchałem długo — była to piosnka,
Co krew nam w żyłach zapala.

Wtedy uczuciem dziwnem natchniony,
Nie mogłem rysów twych zatrzeć —
I powiedziałem: że lat miliony
Chciałbym na ciebie tak patrzeć.

* * *

Widziałem ciebie w świątyni murach,
Z wzniesionem ku niebu czołem,
Nurzał się kościół w kadzideł chmurach,
Otaczał wonnym obłokiem.

Klęczałaś cicha, w niebo wpatrzona,
A śpiew chóralny brzmiał kołem —
Z dymów kadzielnic jasna korona
Nad twojem zawisła czołem.

I zdało mi się, że byłaś skłonna
Przelać Golgoty łzy krwawe...
Patrząc na ciebie, rzekłem: Madonna!
I mówić zacząłem: Ave!

* * *

Lecz raz pamiętam!... wtedy nie byłaś
Ni w róż girlandach, ni złocie —
Gdy we drzwiach nędzy główkę schyliłaś
I łzy otarłaś sierocie.

Nazwało ciebie dziecię aniołem,
Choć jego nie miałaś znamion,
Ni złotej gwiazdy lśniącej nad czołem,
Ni białych skrzydeł u ramion.

Lecz byłaś taka jak lilia biała,
Z twych oczu biła słoneczność —
I — gdy sierota płakać przestała,
Zostałaś moją — na wieczność!

Kazimierz Gliński.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Trwało to długą chwilę.

— Ach — szepnął wreszcie, widząc że dziewczę zupełnie przychodzi do siebie. — Jakżeś ty mnie zastraszyła, brzydka, niedobra!... Przeceniłem twoje siły!... Ale bo to, coś uczyniła — mówił dalej, mając na myśli ów pocałunek, jaki na jego ręce złożyła, — było okrutnem! Ja teraz będę musiał tę rękę swoję chyba w ramki oprawić, jak poświęcaną... Ach, Józka, Józka!

Uśmiechnięta, uszczęśliwiona, wzięła go za obie ręce i poczęła dźwigać z klęczek.

— Siądź tu, obok mnie! — prosiła.

Usiadł posłusznie, ona zaś, czując się osłabioną, oparła głowę na jego piersiach.

Teraz na nią przyszła kolej zwierzeń. Chciała mówić i prosiła, aby jej mówić pozwolił.

— Pan Bóg jest dla mnie zadobry! — zaczęła zwolna, szeptem, jakby spowiadała się sama przed sobą.—Ja nawet nie prosiłam Go nigdy o to szczęście, jakie dziś mię spotyka, bo ono wydawało mi się niepodobnem do uproszenia. Modliłam się tylko o szczęście dla ciebie. Ale żebym ja... ja sama... mogła choć odrobinę szczęścia ci przysporzyć, o tem nie śmiałam marzyć... Nie, nie! to musi być sen tylko!

Krótki, suchy kaszel, odbijający się bolesnem echem w jego sercu, przerywał jej mowę od czasu do czasu, mimo to ani myślała usłuchać jego perswazyj.

Trzeba, żeby raz nareszcie dowiedział się o wszystkiem. Bo i ona walczyła długo sama z sobą, i ona odpychała od siebie te myśli o nim. Ale on, jakby się uwziął, był coraz lepszym i dla niej i dla Wiktora. Gdyby nie ta jego dobroć, możeby już dziś nie żyła... Zawsze bowiem, gdy go brakło, siły opuszczały ją zupełnie. I ostatnim razem, gdy wyjeżdżał tego lata, choć pożegnał ją tak serdecznie... tak przyjaźnie... przecież zwątpiła już o wszystkiem. Mieli się nie widzieć całe trzy miesiące, a to było nad jej siły. Zaraz też zachorowała mocniej i wtedy to zdawało jej się, że musi umrzeć, że powinna nawet usunąć mu się z drogi, cicho, niepostrzeżenie.

— Ale i w grobie byłabym cię jeszcze kochała!— dodała, kończąc swoje zwierzenia.

W przyległym saloniku dały się słyszeć czyjeś kroki. To pani Dalecka wracała z teatru.

— Powiedzieć jej o wszystkiem? — spytała Józia, mając na myśli swoję dobrodziejkę. — Ją to ucieszy! Matką mi jest prawie!

— Powiedz, powiedz! — odparł Konrad, całując raz jeszcze obie rączki ukochanej. — Ja sam rozgadam to jutro całemu światu!

Drzwi od pokoiku uchyliły się cichutko. Józia podbiegła na spotkanie wchodzącej.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytała troskliwie poczciwa kobieta.

Dziewczę, zarumienione, wskazało wzrokiem Konrada.

— A! witam pana! — szepnęła pani Dalecka, spostrzegając gościa. — Teraz już rozumiem, dlaczego Józi nie mogłam na wyjście z domu namówić.

I pogroziła im obojgu z uśmiechem.

— Ale, kiedym pana jeszcze zastała — mówiła dalej, — to proszę na herbatę. Jest gotowa. Proszę!

Przeniesiono się do saloniku, gdzie służąca wniosła mały stoliczek. Rozmowa jednak nie kleiła się jakoś i pani Dalecka musiała mówić za troje.

Dopiero też przyjrzawszy się baczniej obojgu milczącym, domyśliła się, że tu coś zajść musiało.

Przypuszczała jednak jakąś sprzeczkę i dopiero po chwili spostrzegła, iż była w błędzie.

Panowała tu widocznie najprzykładniejsza zgoda. Młoda para była w najlepszej komitywie i pomimo uporczywego milczenia, porozumiewała się wybornie wzrokiem i przelotnemi uśmiechami, które od czasu do czasu zjawiały się mimowolnie na jej rozpromienionych twarzach.

Dostrzegłszy to, poczciwa kobiecina teraz dopiero zrozumiała, iż czeka ją jakaś nowina. I on i ona mieli jej widocznie coś do powiedzenia i czekali tylko sposobnej chwili.

— Muszę się doktorowi poskarżyć — rzekła, zwracając się do Konrada. — Bo Józia znowu źle mi się sprawuje. Kaszle nanowo!

— Zauważyłem to także — odparł pan Konrad. — Myślę też sam zająć się kuracyą panny Józefy. Tylko że przytem będę musiał i ją ztąd zabrać...

— Zabrać? Jak? Gdzie?

— Trzeba!

— Może znów do szpitala? O! na tobym już nie pozwoliła! Wtedy... przed dwoma miesiącami... to co innego. I ja sama byłam wtedy niezdrowa i pana tu nie było. A pan Wiktor mówił, że odda ją tam pod opiekę samych profesorów... Przekonywał, namawiał, ot i namówił... Ale teraz...

— Nie pójdzie do szpitala — zaczął pan Konrad, urwał jednak na tem, widząc błagalny wzrok Józi, która snać nie chciała jeszcze wypowiedzieć ostatniego słowa, rozkoszując się tą lubą tajemnicą.

Zdradził ją atoli uśmiech i rumieniec.

Widząc też, że niema już wyjścia, sięgnęła nagle do ręki opiekunki i przytuliła do niej swe usta.

— Ach, pani! pani! — szepnęła.

Na twarzy pani Daleckiej odbiło się zdziwienie. Pytający swój wzrok przeniosła z Józi na Konrada i dostrzegła, że i on sięga po jej dłoń, jakby ją pragnął uścisnąć i wyrazić jej przez to swą wdzięczność, której w słowa narazie ubrać nie był wstanie.

Myśl jakaś przebiegła jej przez głowę i wzrok nagle się rozjaśnił.

— Ach, tak! — zawołała, dorozumiewając się nareszcie wszystkiego.

Konrad potwierdził ten domysł skinieniem głowy i nowym uściskiem jej ręki.

Nastała uroczysta cisza.

Poczciwa kobieta, pod wpływem wzruszenia, długo nie mogła słowa przemówić i tylko ściskała tulącą się do niej dziewczynę.

Zwróciła się wreszcie do Konrada:

— Bóg to panu nagrodzi! — szepnęła ze łzami w oczach.

X.

Nazajutrz, około południa, przyjechali Schwartz i Marczewski. Wracali rozbawieni, rzeźwi, pełni nowej jakiejś ochoty do życia, ale zarazem i stęsknieni za Konradem. Nie wiedzieli wcale, co się z nim dzieje, na trzy listy bowiem nie otrzymali ani słówka odpowiedzi.

W drodze też nawet umawiali się, że nie puszczą mu tego bezkarnie i muszą dać mu poznać swoję urazę.

— Wiesz, Antek? — mówił Marczewski. — Ja do niego pierwszy nie pójdę!

Schwartz zpoczątku chciał Konrada usprawiedliwiać.

— Bo to — mówił, — niewiadomo, co on tu mógł mieć do roboty... Śmierć stryja... interesa...

Ale Kaziek nie chciał słuchać żadnych perswazyj.

— Niewiadomo! — przerwał, przedrzeźniając.— Tem gorzej! Byłoby wiadomo, gdyby „panu doktorowi" chciało się było odpisać... Nie pójdę! Niech on mię teraz poszuka!

Antek zgodził się ostatecznie na zdanie kolegi.

— Niech nas poszuka!

Ale ciekawość i tęsknota przemogły, zwyciężając wszelkie postanowienia.

W parę godzin po przybyciu, rozszedłszy się pod pozorem interesów, spotkali się obaj na schodach u drzwi nowego mieszkania przyjaciela.

Chcieli udawać, że się nie widzą lub nie poznają, ale na to sień była zawidna.

— Mówiłeś, że idziesz do babki na Włodzimierską? — zaczął pierwszy Schartz, zbliżając się do dzwoniącego zapamiętale kolegi.

— A i tyś mówił, że idziesz do krawca?

Antek machnął ręką.

— Ja! Cóż tam ja! — rzekł. — Łgałem, bom wiedział, że nie wytrzymam!

— No, i ja! Trudno! — odparł Marczewski i zadzwonił raz jeszcze gwałtownie, mszcząc się na niewinnym dzwonku.

Nic to jednak nie pomogło.

— Widocznie niema go w domu — szepnął.

— Ale służący być musi — zauważył Schwartz.

— O, o! A na cóż jemu teraz służącego? Przecie pacyentów jeszcze nie przyjmuje... Nie znasz go to zresztą... Przywykł sam sobie wystarczać!

— Ale gdzie jest o tej godzinie?

Marczewski wydobył zegarek.

— Prawda! Gdzie?... Piąta!

Nie było żadnej rady i trzeba się było cofnąć od drzwi przyjaciela. Postanowili jednak zajrzeć tu jeszcze za godzinę, ale już wspólnie, bez wybiegów.

Schodząc ze schodów, zaczął pierwszy Schwartz:

— No, ale gdzieś ty się, Kazik, dowiedział o jego nowem mieszkaniu?

— W biurze adresowem. Akurat był już wciągnięty.

— A wiesz, jak ja się dowiedziałem?

— No?

— Spotkałem Zawadzkiego.

Marczewski skrzywił się, jak zawsze, ilekroć była mowa o czemś, czego nie znosił.

— E! powiadam ci, inny człowiek! — ciągnął dalej Schwartz, dostrzegłszy niechęć przyjaciela.— Najprzód ubrany bardzo dobrze, prosto z igły. Potem wesoły, szczęśliwy, rozbawiony, a przytem, mówię ci, szelma taka dowcipna, kostyczna! Urodzony satyryk!

— I cóż? — spytał Marczewski, udając, że go to mało interesuje.

— A no, gdym go spotkał, pomyślałem zaraz, że od niego dowiem się napewno, gdzie Konrad mieszka. Zaczepiłem go też obcesowo. Zmierzył mię zpoczątku, o Jezus!... Ale gdy się dowiedział, że to o Konrada idzie i że ja zaliczam się do jego przyjaciół, zmienił ton odrazu. „Chodź pan — rzekł. — Ja wprawdzie nie idę do niego, ale jest mi po drodze. Zaprowadzę pana..." Poszliśmy. Gadał przez drogę, ho, ho, usta mu się nie zamykały. Co on mi nie nagadał przez te pięć minut! Strach! wszystkiego się czepiał. I teatru, i polityki i młodzieży... Co to za głowa!... Aż wkońcu zatrzymał się przed tamtą kamienicą, mówiąc: „Drugie piętro. Frontowe schody. Do widzenia." I popędził naprzód... Ciekawy facet!

— No, no! Kupił cię już, jak widzę!

— Kupił! kupił! — żachnął się Schwartz. — Chcesz, wierz, a ja ci powtórzę, że dawno już nikt mnie tak nie zainteresował... Nie naprózno Konrad widzi w nim coś także i dotąd żyje z nim ciągle...

Marczewski nic już na to nie odpowiedział, a i Antek milczał, czując widocznie urazę. Szli przez pewien czas wprost przed siebie, w milczeniu, poczem, nie umawiając się wcale, skręcili z powrotem od rogu ulicy.

Dopiero jednak kwadrans upływał, nie było więc nadziei, aby Konrad mógł już był wrócić. Mimo to, gdy mijali kamienicę, w której przyjaciel zamieszkał, Schwartz wyrwał się, wołając:

— Idź przodem! Zobaczę jeszcze raz! Jeżelibym cię natychmiast nie dopędził, wracaj, bo to będzie znaczyło, iż Konrad w domu.

I pobiegł, nie słuchając perswazyi.

Marczewski posuwał się po asfalcie zwolna, myśląc: czemu właściwie tego Zawadzkiego nie lubi, gdy przecie nie zna go prawie wcale?

Zanim jednak mógł obmyśleć odpowiedź na to pytanie, Antek dopędził go, mówiąc:

— Niema! Ale stróż mi mówił, że przed ósmą będzie w domu z pewnością. Kazał to nawet powiedzieć, gdyby kto pytał się o niego...

Marczewski, w odpowiedzi na te słowa, przywołał stojącą opodal dorożkę.

— Siadaj! — rzekł do przyjaciela.—Mamy czas! Przejedźmy się po Alejach. Śliczny dzień! Zobaczymy znajomych...

Dorożkarz, zmierzywszy oczyma eleganckich młodzików, popędził ochoczo. W parę chwil mijali już skwer na placu Trzech Krzyżów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA
działalności kobiecej.

Mówiąc o stowarzyszeniach, przytaczaliśmy dotąd przedewszystkiem związki, zawierane przez kobiety francuzkie. Tymczasem ziemią ich klasyczną jest nawskróś przemysłowa i praktyczna Anglia, której córy, brakiem chleba wiedzione, prędzej od innych kroczą naprzód. Jeżeli można wierzyć dochodzącym ztamtąd sprawozdaniom, to niema miesiąca prawie, aby Angielki, pracujące w jakiejś gałęzi, nie próbowały zapomocą stowarzyszenia wyjednać sobie lub uboższym siostrom lepszych warunków bytu. Niech nikt nie myśli, że związki te niewieście mają na celu jakikolwiek przewrót, jakikolwiek postęp gwałtowny, lub choćby pozorny a na ekscentrycznych oparty pozorach. Broń Boże! Kobiety te, pojmując iż spójnia jest siłą, jednoczą się tylko, bądź to w celach filantropijnych, bądź dla zdobycia łatwiejszych warunków pracy i jej zbytu.

Na dowód sięgamy po przykłady.

Wiadomem jest, że kobiety pracujące w Anglii we wszelkich gałęziach przemysłu i handlu, przyłączają się do tak zwanych *trades-unions*, zawiązując własne stowarzyszenia pracy, tak że na ostatnim wielkim kongresie robotniczym w Liverpoolu, miały już one własne swe, niewieścich interesów strzegące przedstawicielki. Łączność ta zapewnia im siłę i powagę wobec chlebodawców, kładąc zarazem kres wyzyskowi, jakiemu ulegały.

Na dowód zaś, jak słuszne i skromne są ich wymagania, przytaczamy tu, iż zawiązany niedawno związek kobiet, pracujących w zawodzie cukierniczym, zażądał jednogłośnie od pryncypałów:

1) Zniesienia kar pieniężnych, które często całą pochłaniają pensyą. 2) Półgodziny wolnej popołudniu na spożycie podwieczorku. 3) Jadalni, w której pracownice mogłyby zbiorowo obiadować (tam, gdzie ich znajduje się większa liczba). 4) Podniesienia dziennego wynagrodzenia o 1 frank 20 centimów. 5) Wreszcie, aby za należenie do stowarzyszenia, pracownica nie została pod żadnym pozorem wydaloną.

Warunki niezbyt wygórowane, jak widzimy, pod groźbą bezrobocia przyjęte zostały. I oto, dzięki spójni, garść kobiet ciężko pracujących nad słodyczami dla innych, zdołała usunąć jedno choćby ziarno goryczy z własnego życia. Słabe, bezbronne i wyzyskiwane pojedynczo, drogą łączności, na którą taki nacisk kładziemy, kobiety angielskie zdobywają siłę, ujawniającą się wybitnie w zabiegach filantropijnych. Spojrzyjmy na przykład na „Stowarzyszenie opieki nad młodemi służącemi." Zajmuje się ono pieczą moralną, poparciem w trudnych chwilach, wyszukiwaniem miejsc, polepszeniem losu, czuwaniem wreszcie, by chronić dziewczęta od złego towarzystwa i przykładu. Związek przyjmuje pod swe skrzydła dziewczyny od lat 13 do 20, jeżeli są służącemi i jeżeli moralność ich nie podlega zarzutom. Ten ostatni warunek bywa wszakże o tyle łagodzony, że oddział jeden stowarzyszenia zajmuje się pobocznie i temi, które zeszły z drogi uczciwej, starając się nawrócić je i w nędzy wspomagać.

Stowarzyszenie liczy obecnie 25 oddziałów, ogarniających wszystkie dzielnice Londynu. Posiada nadto biura rekomendacyj, schroniska dla pozbawionych miejsca, domy zdrowia dla chorych, wzorowe pralnie dostarczające uczennic podobnym zakładom, ect. ect.

Jak więc widzimy, dzięki zbiorowym siłom niewieścim, żadna służąca londyńska nie potrzebuje umierać z nędzy w szpitalu, lub zejść na złą drogę, chyba że na drogę tę pójdzie świadomie i dobrowolnie, ulegając podszeptom własnych instynktów. I wtedy jednak spotka jeszcze nad samą pochyłością inne stowarzyszenie niewieście, które ją od bezpowrotnego stoczenia się w przepaść powstrzyma i nie jak straconą, lecz jak zbłąkaną owieczkę do siebie przygarnie, ucząc pracy i uczciwości. Zczasem do związku tego powrócimy jeszcze. Teraz rzućmy okiem na spółki, w odrębnych zawiązywane celach, a ułatwiające życie inteligencyi niewieściej.

Oto w tymże Londynie, skoro już o albiońskim mówimy grodzie, powstały pierwsze tak zwane *Ladies residential chambers*, czyli domy wznoszone i urządzane wyłącznie na to, aby znalazły w nich najdogodniejsze pomieszczenie kobiety samotne, o wyższym rozwoju umysłowym, pracujące samodzielnie, a niemające czasu ani funduszów na osobne prowadzenie domu. O instytucyi podobnej, mającej się, dzięki ofiarności niewieściej, zawiązać u nas, pisaliśmy w jednej z poprzednich kronik. Ale, podczas gdy tu istnieje projekt dopiero, tam domy mieszkalne dla kobiet samotnych takiego doznały powodzenia, że obecnie wznoszą je w każdej dzielnicy miasta. Czerwone te, z nietynkowanej cegły pałacyki są istnym przybytkiem ciszy i komfortu. Oprócz własnych dwóch, lub jednego pokoiku, każda lokatorka znajduje tu wspólne jadalnie, salony przyjęć, bibliotekę ect. i za drobną stosunkowo opłatą, wolna od trosk gospodarczych, otrzymuje cały dostatek zamożnego, domowego ogniska.

Ta potrzeba wreszcie ułatwienia pracy niewieściej wszędzie się objawia. W Bolonii założono tej wiosny komitet centralny dla polepszenia warunków umysłowych, moralnych i prawnych kobiety. Pierwszym jego krokiem było ustanowienie całego szeregu odczytów, które mają spopularyzować dążenia komitetu. Rozpoczęła je na estradzie prelegentka, p. Marya Popelin, doktorka prawa, której izba sądowa w Brukselli nie chce, jak wiadomo, zaliczyć do ciała obrończego. Panna Popelin przemawiała za przyznaniem kobiecie przywileju bronienia wobec trybunałów sprawy uciśnionych i nieszczęśliwych. Głos jej zaś wymowny musiał trafić do sfer wyższych i znaleźć w nich oddźwięk, skoro, jak donoszą dzienniki belgijskie, rząd sam, uznając iż przy dorywczej nauce zbyt wiele sił niewieścich się marnuje, żąda założenia specyalnego gimnazyum, któreby przygotowywało dziewczęta do studyów uniwersyteckich.

Zaglądając w przelocie i pobieżnie tylko do krajów innych, znajdujemy w Szwajcaryi, w Neufchâtelu, biuro główne (filie w wielu innych miastach) tak zwanej *L'union internationale des amies de la jeune fille.*

To stowarzyszenie przyjaciół dziewcząt bierze je w opiekę wszystkie, od nauczycielki, dziennikarki, studentki uniwersytetu, aż do prostej służącej. Przyczem zapewniając im pośrednictwo w wyszukaniu pracy, oraz dach i środki do życia podczas bezrobocia, oddaje niewyćwiczonym jeszcze w walce o chleb, a więc niezaradnym, olbrzymie przysługi.

Uzupełnia je poczęści tak zwane „Ognisko rodzinne," *le home français*, utrzymywane w Paryżu, a zapewniające, dzięki pomysłowości miss Morgan, przytułek dla kobiet, niemogących znaleźć zajęcia.

I oto, pomijając tylko niemieckie związki niewieście, którym zczasem osobną poświęcimy kronikę, spróbowaliśmy z mnóstwa zagranicznych stowarzyszeń kobiecych dotknąć kilku, działających w przeróżnych zakresach. Od zjednoczenia rzeźbiarek i malarek, do przemysłowych syndykatów niewieścich, od *trades-unions* (związków robotniczych), ogłaszających bezrobocia, do stowarzyszeń filantropijnych, dających pracę i opiekę moralną, wszystkie one, jak łatwo przekonać się można, zerwały oddawna z krzykliwą emancypacyą. Stworzyć przez związek siłę i mocą jej ułatwić zdobycie nauki lub chleba stowarzyszonym kobietom, od najwyższych

do najuboższych, oto jedyny dziś cel, do jakiego dążą i jaki coraz częściej osiągają. Sądzę też, iż kobiety nasze, marnujące pracę i zabiegi w bezowocnych, pojedynczych usiłowaniach, powinny pójść tym razem za przykładem zagranicy, szukając we wspólnych siłach oparcia i ułatwienia przyszłości.

Ponieważ stowarzyszenia wszelkie potrzebują jeszcze łącznika, któryby im wzajemnie ułatwiał stosunki, dzięki więc inicyatywie rodaczki naszej, p. Maryi Szeligi, powstała w Paryżu przed dwoma laty *L'union universelle des femmes* (Stowarzyszenie powszechne kobiet), które, nie ścieśniając bynajmniej związków pojedynczych, na potrzebach każdego kraju opartych, stanowi połączenie ich niejako. *L'Union*, mając baczne oko zwrócone na ruch niewieści całego świata cywilizowanego, pomieszcza echa jego we własnym organie *), dając poniekąd obraz ogólny postępu, jaki na niwie tej widzieć się daje.

Przerzucając karty tego i innych pism zagranicznych, a szczególniej angielskich, poświęconych rozwojowi wykształcenia i pracy niewieściej, widzimy dopiero ze smutkiem, jak mało w tym kierunku u nas dotąd zdziałano, jak nam brak zrozumienia własnego interesu i... o mało nie powiedziałem poczucia najprostszego obowiązku.

Bo przecież i u nas roi się od kobiet bezdomnych, pozbawionych dachu i ogniska rodzinnego, lub utrzymujących całość tej świątyni rodzinnej, mocą najcięższych wysiłków tylko; i u nas mnóstwo rodzin, ogólnym stanem ekonomicznym w bycie swym zachwianych, ma prawo żądać od córek swych pomocy i poparcia. Tymczasem córki te bądź traktują pracę jako zabawkę i zabicie czasu, bądź błądzą nieświadomie, za coby się zaczepić mogły. I dopiero później, gdy bieda naprawdę do ratunku zmusza, kobiety nasze chwytają za pierwsze lepsze zajęcie, często wręcz usposobieniu ich przeciwne, a prawie zawsze... niechlebodajne.

Oto przyczyna, dla której poruszyliśmy kwestyą stowarzyszeń niewieścich, sądząc iż mogłyby one dostarczyć niejednego może wzoru i środka ratunku w ogólnej stagnacyi pracy kobiecej. Musimy to bowiem nazwać stanem stagnacyi, gdy jedyne u nas, zbiorowo działające Schronienie nauczycielek odwołuje się, dla braku poparcia ze strony stowarzyszonych, do ofiarności publicznej.

Wobec też ogólnego narzekania na brak pola, a raczej na brak poparcia, polecamy uwadze czytelniczek wyszłe świeżo obszerne dzieło pani Paquet-Mille, pod tytułem „Poradnik dla młodych dziewcząt w wyborze zawodu" (*Nouveau guide pratique des jeunes filles dans le choix d'une profession*). Zachęca on gorąco do studyów farmaceutycznych, dowodząc: „Oto zawód, który zapewnić może przyszłość wielu kobietom. Zadanie aptekarza wymaga życia siedzącego, wiadomości specyalnych i wkłada na niego pewną odpowiedzialność; kobiety jednak okazywały zawsze wyłączne upodobanie do chemii i aptekarstwa. Ileż z nich uprawia je bezwiednie! Aptekarki te nieuczone, a więc niebezpieczne, należy zastąpić specyalistkami wykwalifikowanemi. Dziwi nas też, iż tak mało kobiet poświęca się dotąd zawodowi równie szanowanemu, zyskownemu i spokojnemu."

Jeszcze goręcej nakłania kobiety do aptekarstwa „Le progrès medical." „Wszak łatwiej słabym nerwom płukać słój, niż wnętrzności trupie—woła autor artykułu, doktór Bourneville.—We Francyi, Anglii, Włoszech i Rossyi zawód to dozwolony, czemuż więc niepraktykowany?" „Revue scientifique" popiera usilnie tęż samę kwestyą, dowodząc, iż zajęcia aptekarki, wymagające wykształcenia średniego tylko i pracy lekkiej, dadzą się doskonale pogodzić z obowiązkami żony i matki.

Polem zato, na którem działalność kobiet coraz szersze zaczyna zakreślać kręgi, jest bezzaprzeczenia literatura. Wprawdzie pesymiści dowodzą, że wniosły tu one z sobą zbyt wielki zapas wodnistych i bezbarwnych utworów, nikt jednak nie zaprzeczy, że zajaśniały również szeregiem niepospolitych talentów. W ostatnich przytem czasach, nawet u nas, porzuciwszy drobną beletrystykę, wzięły się do prac poważnych. Zacząwszy też od naszych doktorek-dziennikarek, dających, jak dr. Stefanowska i Ulanowska, daskonałe sprawozdania z dziedziny nauk przyrodniczych i wystawy azyatyckiej, spotykamy nieznane dotąd imiona niewieście na łamach pism tak poważnych, jak „Wisła," „Ateneum" i inne.

Równocześnie autorzy francuzcy wydają osobne studya o pani de La Fayette, a unosząc się nad czystem tchnieniem idealizmu, jaki przenikał jej prace, dowodzą, że autorka ta, urodzona w roku 1634, była pierwszą kobietą, która, nie odrzucając w dziełach swych brudnej prawdy życia i zmysłów, umiała jednak tchnąć w nią szlachetny pierwiastek.

Inna kobieta, pani Vincent, pisująca pod pseudonymem Arvède Barine, wydała świeżo wielce zajmującą książkę: „Princesses et grandes dames." Praca ta obejmuje galeryą typów kobiecych z wielkiego świata, nakreśloną piórem barwnem i zaprawioną ciętym dowcipem.

Z obchodzących nas postaci spotykamy tu portret Krystyny szwedzkiej, kobiety, w której spaczone wychowaniem zabiło serce, a nie dało charakteru męzkiego, myślącej przez całe życie o tem tylko, w jaki sposób pobudzić świat do podziwu dla siebie i zajęcia swoją osobą.

Następują dalej dzieje księżniczki arabskiej Salme, sułtanki Zanzibaru, której losy, jako żony kupca hamburskiego, znane są czytelnikom z łamów naszego „Tygodnika."

Spór literacki innej kobiety, pani Rosevalle, z panem Stefanim, redaktorem „Vossische Zeitung," daje nam ciekawe szczegóły o wynalazkach, dokonanych przez pracownice niewieście.

Dowiadujemy się ztamtąd, iż same Stany Zjednoczone udzieliły do 1889 roku 3,500 patentów na nieznane dotąd odkrycia, w dziedzinie przemysłu i nauki przez kobiety dokonane.

Przeczytawszy długi ten szereg prac, które lata mozołu kosztowały, niosąc wzamian ludzkości nowe ziarno wiedzy i nową ulgę w pracy, nie dziwimy się, iż profesor doktór F. M. Wendt z Opawy ostatnie swe dzieło pod tytułem „Dusza kobiety, przyczynek do psychologii niewieściej," *) poświęcił w osobnej dedykacyi, jako dowód czci i uznania, tym stowarzyszeniom, które walczą o wiedzę i wyższe wykształcenie dla kobiet.

Anatol Krzyżanowski.

*) Bulletin de l'Union universelle des femmes.

*) Die Seele des Weibes, Versuch einer Frauen-Psychologie.

STRZAŁ.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Był to czysty głos Nielsa Bryda. Hening zerwał się, jak błyskawica strzeliła mu w sercu nienawiść, zapałały mu oczy, zaśmiał się ochryple i uderzył fuzyą o ziemię.

„Tylko troskę, tylko troskę zatrzymam daleko."

znów zabrzmiało; celował we mgłę za głosem, huk zagłuszył ostatnie słowo, a potem wszystko tak było cicho, jak przedtem.

Hening musiał się oprzeć na dymiącej strzelbie, nasłuchiwał ze wstrzymanym oddechem, nie, dzięki Bogu! Był to tylko plusk wody i krzyk daleki mew wystraszonych. Tak, wśród mgły skarżyło się coś żałośnie. Rzucił się na ziemię, przyciskał twarz do wrzosów i zatykał sobie uszy.

Wyraźnie widział twarz od boleści wykrzywioną, konwulsyjne drganie członków i krew czerwoną, która bez ustanku wytryskała z piersi, pędzona przez każde serca uderzenie, widział, jak spływała na kurtkę brązową, wzdłuż gałęzi drzew, aż wreszcie pomiędzy czarnemi sączyła się korzeniami.

Uniósł głowę i słuchał; skarżyło się jeszcze, ale dojść mu nie było wolno, nie, nie! Rwał zębami wrzosy, rozgrzebywał palcami ziemię wilgotną, jakby szukał schronienia; jak szalony tarzał się i zataczał to w jednę, to w drugą stronę, ale tam w głębi jeszcze nie ucichło, wciąż słyszał skargi.

Umilkło wreszcie. Długo leżał i nasłuchiwał, potem powoli na czworakach zaczołgał się we mgłę. Trwało chwilę, zanim cokolwiek rozpoznać był wstanie; nakoniec odnalazł go tuż obok niewielkiej ławy piaszczystej. Nie żył. Strzał trafił go w samo serce.

Hening wziął trupa na ręce i zaniósł go w poprzek „Ronu" do łodzi, w której przybyli, potem pochwycił wiosło i popłynął ku lądowi. Od chwili w której ujrzał trupa, wzburzenie jego przeminęło i zastąpiła je cicha, ponura żałość. Myślał o znikomości życia i jak miał najostrożniej przygotować pozostałych.

Gdy wylądował, wszedł do najpierwszego z domów wieśniaczych, dla wynajęcia furmanki. Wieśniak spytał, w jaki sposób stało się nieszczęście. Z ust Heninga płynęło opowiadanie, jakby samo przez się; tam na zachodniej stronie Bryde przełaził przez pagórek, strzelbę miał w ręku, kurek widocznie nawpół był odwiedziony, może się w nim coś popsuło i broń wystrzeliła. Podług strzału Hening domyślił się, że byli blizko siebie, zawołał więc na Bryda; ale gdy nie dostał odpowiedzi, zaniepokoił się i poszedł za hukiem; wtedy znalazł go pod pagórkiem właśnie, lecz nie żył już.

Wszystko to opowiadał spokojnie w tonie stłumionym i smutnym, a podczas gdy opowiadał, najmniejszej nie miał świadomości winy. Skoro przecież trupa położyli na wóz, a trup opadł na słomę, z głową nabok pochyloną i słabo uderzając o pudło, Hening zemdlał prawie i niedobrze mu było przez cały czas, gdy na Borup jechali do Hagestedshof.

Pierwszą myślą jego było uciec; z największym tylko wysiłkiem zdołał zmusić się do pozostania

przez pogrzeb. Oczekując na ten obrzęd, zewnętrznie okazywał gorączkowy niepokój i dziwny zamęt w myśleniu, tak że nie mógł zachować nic oznaczonego, ale przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot. Bezustanne to kręcenie się i wrzenie w jego mózgu, którego powstrzymać nie miał siły, czyniło go blizkim szaleństwa, a gdy był sam, zaczynał liczyć lub śpiewać zcicha i wybijać takt nogą, aby w ten sposób nałożyć więzy myślom swoim i nie pozwolić się porwać strasznemu, wyczerpującemu ich tańcowi.

Nadszedł wreszcie pogrzeb.

W dzień potem Hening był na drodze do wuja swego, kupca drzewnego, dla uzyskania posady w jego interesie. Zastał go w usposobieniu wielce smutnem. Przed miesiącem mianowicie umarła stara jego gospodyni, a obecnie zmuszonym był odprawić prokurenta swego zpowodu sprzeniewierzenia się. Hening więc gorące znalazł przyjęcie. Z zapałem wziął się do dzieła i po roku objął kierunek całego interesu.

W cztery lata potem niejedna zaszła zmiana. Kupiec drzewny umarł, a Hening był głównym jego sukcesorem. Stary Lind ze Stavnede również pożegnał życie doczesne, lecz majątek zostawił tak obdłużony, iż musiano go sprzedać, przyczem nie pozostało prawie nic dla Agaty. Nowym właścicielem dóbr w Stavnede stał się Hening, który znów zwrócił się ku rolnictwu. W Hagestedhof po Nielsie Brydem nastąpił niejaki Klausen, który wkrótce miał poślubić Agatę. Mieszka ona tymczasem u pastora i jeszcze ładniejszą jest, niż przedtem. Inaczej dzieje się z Heningiem.

Nie znać po nim wcale, że miał szczęście. Wygląda jak starzec, rysy ma ostre, chód osłabiony, przygarbiony, mówi mało i cicho bardzo, oko jego dziwnie suchy ma połysk, a spojrzenie pełne niepokoju. Gdy zdaje mu się, że jest sam, mówi do siebie i gestykuluje. Dlatego ludzie w okolicy przypuszczają, że się upija.

Ale tak nie jest. Dzień i noc, nigdy i nigdzie nie czuje się bezpiecznym przed myślą o morderstwie. Wśród trwogi wiecznej uschły duch jego i zdolności, bo gdy nadchodzi myśl owa, przybiera postać nie żalu albo troski ponurej, ale żywego, płomienistego przerażenia, szału straszliwego, w którym zdaje mu się, że widzi wszystko w ciągłym ruchu, jak wylewa się strumieniem, spada kroplami, szemrze dziwacznie i zmienia barwę, wszystko jest albo trupio-bladem, albo krwawo-czerwonem.

A w strumieniach tych taka jest nieskończoność, jakby wsysało się coś w żyły wszystkie, jakby żywiło się najdelikatniejszemi splotami nerwów, a pierś podnosi się wśród obawy niewypowiedzianej; ale żaden okrzyk zbawczy, żadne ulgę niosące westchnienie przez blade te usta nie znajdują drogi.

Widzenia takie są skutkiem rozmyślania, więc lęka się go, więc spojrzenie jego jest niespokojnem, a chód osłabionym. Strach ten ubezwładnił go, a co mu jeszcze pozostało siły, żyje w nienawiści jego, bo on nienawidzi Agatę, nienawidzi ją dlatego, że miłość ku niej zgubiła jego duszę, pozbawiła go szczęścia życia całego, wydarła spokój, ale najwięcej ją nienawidzi dlatego, że nie ma pojęcia o świecie mąk i nędzy, któremu dała początek, a jeśli teraz wśród groźnych gestów mówi ze samym sobą, myśli tylko o zemście i plany zemsty snuje i nosi ze sobą. Nie daje jednak nic poznać po sobie; względem Agaty jest uprzejmością wcieloną; kupuje jej wyprawę, prowadzi ją do ślubu, po weselu nawet nie stygnie dla niej; pomaga i radzi Klausenowi na wszelki sposób, obaj nawet wspólnie podjęli kilka znacznych spekulacyj handlowych, które świetne przyniosły rezultaty. Wtedy Hening zaprzestał, ale Klausen chciał pracować jeszcze w dalszym ciągu, a Hening przyrzekł mu pomagać słowem i czynem. Dotrzymał też słowa. Forszusował Klausenowi wielkie sumy i ten ostatni brał jedno przedsiębierstwo po drugiem. Na jednych zarabiał, na innych tracił; im więcej jednak robił obrotów, z tem większym oddawał się im zapałem.

Wkońcu ogromny jeden interes miał zeń uczynić bogacza. Interes ten licznych wymagał nakładów, Hening dawał na wszystkie; jeszcze jednego tylko było potrzeba, ale Hening cofnął się. Klausenowi widoki zdawały się wielce obiecującemi; gdyby teraz nie korzystał z chwili, byłby zrujnowanym, a płacić nie był wstanie. W ten sposób doszedł do podrobienia podpisu Heninga na kilku wekslach. Nikt nie poweźmie podejrzenia, myślał, a zyski popłyną niebawem.

Przedsiębierstwo nie udało się. Klausen doszedł prawie do ruiny. Zbliżał się termin płatności weksli; trzeba było ostatnią zrobić próbę, więc posłał Agatę do Stavnede.

Hening zdziwił się, spostrzegłszy ją, gdyż niedawno przedtem powiła była dziecko, a powietrze było ostre i dżdżyste. Zaprowadził ją do zielonego pokoju i opowiedziała mu o niefortunnych spekulacyach i o wekslach.

Hening potrząsał głową i rzekł spokojnie i łagodnie, że pewnie nie zrozumiała męża swojego; że nie podpisuje się cudzego nazwiska na wekslach, że to przestępstwo, wprost przestępstwo, które prawo ciężkiem karze więzieniem.

— Nie, nie—odrzekła,—dobrze zrozumiała męża swego i wiadomo jej, że to przestępstwo, ale właśnie dlatego pomoc jego jest niezbędną; jeżeli tylko nie będzie protestował przeciwko podpisowi, wszystko znów będzie dobrze.

Tak jest, przekładał on, ale w takim razie musiałby zapłacić weksle, a tego uczynić nie ma możności; tyle już pieniędzy utkwił w interesach Klausena, iż nad siły jest przeciążony. Nie może.

Płakała i prosiła.

Musi wszak pamiętać, że przez Klausena stracił dużo niezmiernie. Gdy go zawiadomiła o nieudaniu się przedsiębierstwa, zdawało mu się naprawdę, że go ktoś uderzył w twarz, tak był zdumiony i oszołomiony.

Przy tych słowach przychodzi mu na myśl, że go ona spoliczkowała razu pewnego, czy sobie to przypomina? Nie? jednego dnia, kiedy z nią mówił o Brydem... czy istotnie nie może sobie przypomnieć? Tak, tak, w uprzejmym pośpiechu kiedyś w twarz go uderzyła, z tej oto strony.

Wszystko dobrze, ale czyż pomódz nie jest wstanie? Było to w tym pokoju. Ach, inny to był, dziwny czas!

Zdaje mu się nawet, że kiedyś starał się o jej rękę, przynajmniej tak mniema. Naturalnie, gdyby się zgodziła, ale niedorzecznością było mówić o tem; Bryde piękny był mężczyzna i tak smutny miał koniec.

Tak, tak; ale czy naprawdę niema wyjścia? Żadnego?

Niechaj nie wierzy historyi o wekslach, wmówił jej to tylko Klausen, ażeby dowiedzieć się, czy choć z niewielką jeszcze chce mu przyjść pomocą; to żartowniś z tego Klausena, przebiegły, bardzo przebiegły!

Nie, rzeczywiście tak jest, jak mówiła. Jeśli wróci z odmowną odpowiedzią, Klausen zmuszonym będzie uciec do Ameryki; powóz, który miał go odwieźć do stacyi kolei w Voer, już był zajechał, gdy wychodziła z domu.

Nie, tego nie przypuszczał o Klausenie. Wszak to postępek najnikczemniejszy! Wprawić w kłopot tego, który ciągłą okazywał mu pomoc! Widocznie bardzo zepsuty. To podle! A potem ściągnąć hańbę na żonę i dziecko niewinne! Usłyszy co ludzie powiedzą. Biedna Agato, biedna Agato!

Rzuciła się przed nim na kolana i prosiła:

— Heningu, Heningu! miej litość nad nami!

— Nie i potysiąckroć nie! *Moje* imię pozostanie bez skazy, ja nie pomagam przestępcy.

I poszła.

Hening zasiadł i napisał do policyi w Voer, aby zatrzymać Klausena w zarzucie fałszowania weksli, gdy przybędzie na stacyą. List ten odesłał sztafetą.

Wieczorem dowiedział się, że Klausen wyjechał, nazajutrz zaś został aresztowany w Voer.

Zaledwie wróciwszy do domu, Agata musiała położyć się do łóżka. Osłabiona po przebytej cotylko chorobie, nie mogła znieść nadwerężenia i silnego wstrząśnienia umysłowego. Wiadomość o pochwyceniu Klausena złamała ją do ostatka. Choroba przybrała złośliwy, gorączkowy charakter, a w trzy dni potem do Stavnede doszła wieść, że Agata umarła.

Na dzień przed pogrzebem Hening udał się do Hogestedhof. Ponura mgła zalegała drogę, liście opadały całemi płatami, w powietrzu unosiła się ostra i ziemista woń. Wprowadzono go do pokoju zmarłej.

Okna zawieszone były białemi chustami, w głowach nieboszczki paliło się kilka świec. Z wieńców wydobywał się ciężki zapach kwiatów i mieszał z odorem świeżego lakieru na trumnie.

Kiedy widział ją tu spoczywającą w białych, fantastycznych szatach śmierci, wpadłby wnastrój niemal uroczysty. Na twarz jej rozpostarto białą chustkę; nie umósł jej. Ręce miała skrzyżowane na piersi i białe rękawiczki bawełniane. Ujął ją za rękę i ściągnął rękawiczkę. Potem ciekawie przyglądał się tej ręce i chuchał na palce, jakby je chciał ogrzać oddechem swoim. Długo trzymał jej rękę w swojej; w pokoju ściemniało się coraz bardziej, na dworzu mgła zwiększała się ciągle. Nachylił się ku jej obliczu i wyszeptał: „Bywaj zdrowa, Agato; zanim się rozstaniemy, powiem ci coś jeszcze; i *mnie* nie żal tego, com uczynił," poczem puścił rękę i poszedł.

Gdy wyszedł, prawie nic nie widział, tak gęstą była mgła. Szedł wzdłuż wybrzeża. Pomszczonym był tedy, ale teraz! Co będzie jutro i pojutrze? Co? Zupełnie było cicho, lekki szmer tylko wzbijał się od wody, ależ nie słyszał wszak serca swego bicia?

Tak, biło jednak, lecz tak słabo, tak słabo! Co? Rozległ się jakby strzał! i jeszcze jeden! Potrząsnął głową, roześmiał się, wyjąknął: „Nie, nie dwa, jeden tylko, tylko jeden!" Tak był zmęczony, ale odpocząć... do odpoczynku nie miał spokoju. Stanął na chwilę i rozejrzał się; niedużo tam było do widzenia; mgła tworzyła mur wokoło niego, mgła ugóry, mgła wokoło, piasek nadole; tu w piasku w prostej linii były ślady jego nóg; dochodziły do środka koła utworzonego przez mgłę, nie dalej; uszedł znów kawałek, nie, nie dalej sięgały jak do środka, ale za nim, tam zkąd przyszedł, tam były koła pełne jego kroków. Bardzo przecież był zmęczony; w piasku to chodziło się tak ciężko, za każdym krokiem tracił trochę sił, tak! przestrzeń przebyta była szeregiem mogił sił, które uleciały, a przed nim piasek jeszcze był tak równym i gład-

kim i czekał. Przebiegł go dreszcz. „Tam jest ktoś, co stąpa po moim grobie, ktoś, co wchodzi w moje ślady, tam we mgle coś szeleści, jakby suknie kobiece, to coś białego w białej mgle."

Szedł znowu jak mógł najprędzej. Kolana chwiały się pod nim, ściemniło mu się w oczach, ale musiał iść coraz dalej, coraz dalej przez mgłę, bo tam z głębi coś ścigało go bezustanku. Zbliżało się coraz bardziej, już opuszczały go siły, słaniał się to w tę, to w drugą stronę, migały się przed nim światełka przeróżne, głosy ostre, rozdzierające brzmiały mu w uszach, zimny pot występował mu na czoło, usta jego rozchylały się wśród przerażenia, upadł na piasek. I wyszło z poza mgły bezkształtne, lecz znajome i przytłoczyło go zwolna całym ciężarem swoim.

Usiłował się podnieść, ale uchwyciło go za gardło białemi, wilgotnemi palcami...

Kiedy następnego dnia Agata miała być pochowana, orszak cały oczekiwał długo i napróżno: ze Stavnede nie przybył nikt...

J. P. J.

HYGIENA

VIII.

Poznawszy skład krwi i jej znaczenie w odżywianiu tkanek i organów naszego ustroju, zrozumiecie łatwo, szanowne czytelniczki, że wszelkie zmiany krwi tak pod względem ilości, jak i pod względem jakości składowych jej części muszą niekorzystnie wpływać na odżywianie i wywoływać zaburzenia w tych lub innych organach. Człowiek zdrowy nie powinien mieć krwi ani zadużo, ani zamało; zbyteczna ilość krwi okrąża niepotrzebnie organizm, wywołuje przepełnienie pewnych organów wewnętrznych i nieodłączne od tego dolegliwości, zbyt mała lub niedostateczna ilość krwi nie jest wstanie należycie odżywiać organizmu i jest przyczyną jego wątłości i chorowitości. Wogóle przyjmujemy, że człowiek zdrowy posiada krwi $^1/_{13}$ część wagi całego swego ciała, co lubo fizyologicznie dowiedzionem zostało, w praktyce jednak określić się tak łatwo nie daje. O dostatecznej przeto lub niedostatecznej ilości krwi u człowieka sądzić możemy z następujących objawów. Skóra twarzy u zdrowego jest czerstwa, rumiana, policzki zarumienione, usta różowe, błony śluzowe oczu również dostatecznie krwią napełnione.

Uderzenie serca równe i silne, jak również tętno. Odżywianie skóry dobre; jest ona koloru bladoróżowego, z dostateczną ilością tkanki tłuszczowej, miękka i elastyczna.

Niedostateczna ilość krwi wywołaną być może przez złe i niedostateczne pożywienie, przez choroby ostre gorączkowe, lub chroniczne długotrwające i wycieńczające. Szczególniej u dzieci, u kobiet i osób delikatnych czasami niezbyt długa i ciężka choroba wywołuje już naczne zubożenie krwi, które dopiero po pewnym czasie przy wzmacniającej dyecie i użyciu środków lekarskich ustąpić może.

U dzieci, szczególniej w pierwszych latach życia, zdarzają się często takie wyniszczające choroby, a mianowicie odra, skarlatyna, zapalenie nerek, tyfus, katary kiszek czyli dyarye, choleryna i wiele innych. Po przebyciu tych chorób, oprócz ogólnego wychudnięcia całego ciała, rozwija się szybko niedokrwistość, której objawy są następujące: Skóra blada lub blado-żółtawa, blade usta i błony śluzowe, tętno słabe, drobne, łatwo dające się ucisnąć. Zpowodu niedostatecznej ilości krwi i osłabienia czynności serca, chorzy tacy skłonni są do omdleń, zawrotów i bolów głowy, trawienie mają leniwe, humor zmienny i odznaczają się ociężałością lub rozdrażnieniem nerwowem.

Toż samo mniejwięcej widzieć możemy u osób dorosłych, tylko przez czas dłuższy i w wyższym stopniu, dzieci bowiem prędzej niż dorośli wracają do sił i zdrowia. Oprócz tego osoby małokrwiste odznaczają się skłonnością do chorób, gdyż ustrój ich jest mniej odporny i wrażliwszy na wszelkie bodźce szkodliwe. Wyższe stopnie niedokrwistości prowadzą do tak zwanej wodnistości krwi (hydraemia), przy której często spotykamy obrzęki nóg, puchlinę brzucha, osierdzia opłucnej, wogóle tak zwaną wodną puchlinę.

Najłatwiej i najszybciej niedokrwistość występuje po utracie krwi zpowodu krwotoków, z jakichkolwiek przyczyn powstałych. Krwotok może mieć miejsce we wszystkich narządach naszego ciała, najczęściej jednak wywołany bywa przez zranienie lub uszkodzenie naczyń krwionośnych tętniczych lub żylnych, jakkolwiek i naczynia włosowate łatwo krwawić mogą, szczególniej przy wrodzonej ich kruchości i słabości.

Odróżniamy przeto krwotok tętniczy, żylny i miąższowy (z naczyń włosowatych). Gdy przyczyną krwotoku jest rana, wtedy z jej położenia i kierunku można przybliżenie sądzić, czyuszkodzoną została tętnica, czy żyła.

Przytem pamiętać należy, że przy uszkodzeniu tętnicy nawet bardzo małej krew jest jasno czerwona i strzyka z rany na pewną odległość; przy zranieniu żyły krew spływa powoli i jest ciemniejsza.

Szybka i obfita utrata krwi wywołuje niekiedy omdlenie z utratą przytomności. Serce działa bardzo słabo, tętno staje się drobnem, słabem i niekiedy zupełnie niewyczuwalnem. Twarz pokrywa się bladością, skóra staje się zimna, sucha i traci swą sprężystość. Obfity krwotok z ważnych tętnic lub żył wywołać może śmierć pozorną, a niekiedy śmierć rzeczywistą. Dlatego bardzo korzystną jest w życiu codziennem znajomość tamowania krwotoków i obchodzenia się z takimi chorymi, zanim przybędzie lekarz i według wszelkich prawideł sztuki pomocy udzieli.

Pierwszym warunkiem ratowania wczasie krwotoku jest przytomność umysłu i zimna krew. W takich wypadkach nagłych więcej pomódz może jedna osoba przytomna i energiczna, aniżeli dziesiątki osób niedołężnych, z których każde zaleca swoje lekarstwo, a żadne nie zrobi tego, co najpotrzebniejsze. Krew tymczasem uchodzi z każdą chwilą, a z nią siły i życie ucieka. Przedewszystkiem chorego należy położyć wygodnie, tak aby głowa nie znajdowała się zbyt wysoko, gdyż przy nagłych i obfitych krwotokach łatwo bardzo następuje omdlenie, czemu nizkie położenie głowy do pewnego stopnia zapobiedz może.

Samo tamowanie krwi również jest ważnem, a polega ono na zmniejszeniu dopływu krwi do miejsca krwotoku i ułatwieniu tworzenia się skrzepu krwi w naczyniu zranionem. Dla zmniejszenia dopływu krwi, jeżeli rana jest na kończynach to jest rękach lub nogach, należy powyżej rany kończynę chustką lub taśmą mocno przewiązać. Na samę ranę krwawiącą przykładać trzeba zimne okłady z wody lub lód w pęcherzu, dopóki się krew nie zatamuje. Dobrze jest do tamowania krwotoku mieć pod ręką roztwór ałunu, taniny lub półtorachlorku żelaza, który na wacie przykładamy do rany krwawiącej. Używane w życiu codziennem sposoby tamowania krwi zapomocą pajęczyny, spalonego płótna, ciasta i t. p., jako zanieczyszczające ranę, powinny stanowczo wyjść z użycia.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z TYGODNIA

Mam w tej chwili przed oczami wykaz urzędowy urodzajów tegorocznych w całem państwie. Wedle tej relacyi oficyalnej, ze wszystkich gubernij Królestwa tylko jedna obiecuje plony ilościowo niezadowalające, wszystkie inne pozwalają się spodziewać rezultatów dodatnich.

A zatem złe wróżby na wiosnę okazują się fałszywemi? Ależ tak, nieinaczej! Były one objawem sztucznego pesymizmu, który krzewi się dzisiaj chorobliwie na stosunkach ludzkich, jak jemioła na dębinie!

— O, niech-no tylko pogoda dotrzyma porze zbiorów! — słychać wszędzie życzenia.

— A jak tam u pana dobrodzieja żytko?

— Żyto jak żyto, ale pszenica!... Dawnom takiej nie widział! A jarzyny, mości dobrodzieju, prześliczne, i byle tylko zbiór pogodny.

— Nie zbraknie chleba, co?

— Prawdą a Bogiem, nie braknie nam go nigdy, bo gdy na górce od słońca przepadnie, to się w dołku szczęśliwie przechowa, a co w dołku zgnije, to na górce ocaleje. Bywa to „jakoś" rozmaicie, ale w ogólnym rezultacie zawsze od biedy.

— A na cóż te wiosenne biadania?

— Hm... taka to już natura ludzka. Wciągnęliśmy się do stękania i stękamy przy lada okazyi. A co prawda, choć pszenicy będzie dużo, choć żyta wystarczy i dla innych coś zbędzie, jak się Niemcy z cłem upierać zechcą, niewielka ztąd pociecha.

— A przecież dzisiaj po 14 rubelków para, i to zgórą, ceny niezłe!

— Ba! na przednówku, wielka rzecz! Potem spadną, za sprawą Żydków.

W dalszem rozwinięciu tego tematu urodzajowego wysłuchałem jeszcze wielu biadań i złych prognostyków, alem ich już do serca zbyt żywo nie brał, skorom wyniósł z rozmowy pociechę: chleba nie zbraknie. Na teraz tego dosyć. Co będzie dalej „za sprawą Żydków," tego oczywiście skromny kronikarz Tygodnika przewidzieć nie zdoła, dosyć mu, że chleba nie zbraknie... dla niego i dla wszystkich.

Na teraz czuję się w obowiązku podzielić z czytelniczkami interesującą nowiną, która się urodziła o miedzę, a nadleciała na skrzydłach prasy i telegrafu. W Krakowie świeżo odbył się zjazd lekarzy, który zamknięto postawieniem wniosku, aby kobietom wolno było uczęszczać na wydziały filozoficzne wszechnicy tamtejszej. Filozofia w po-

dziale uniwersyteckim, to filologia, historya, matematyka, przyrodnictwo. Nie wiem czy wnioskodawca, członek zjazdu lekarskiego, miał też na myśli medycynę, ale o tem nie mówił. Jeżeli nie, to wygląda to trochę dziwnie, ale, bądźcobądź, jest-to już krok naprzód. Wiadomość o tem głosi, iż wniosek przyjęto burzą oklasków! Idzie już tylko o to, aby nie uwiązł na wieki w protokułach zjazdowych i aby szanowna *Alma mater*, do której go adresowano, otworzyła swoje wierzeje dla nadobnych słuchaczek.

Niemcy świętują obecnie stuletni „jubel" największego ze swoich geniuszów — Mozarta. Obchodziło go bardzo uroczyście miasto Salzburg, w którem się muzyk ten urodził, obchodziło go zaś o kilka miesięcy wcześniej, niżby należało, tylko gwoli porze letniej. Jubileusz przyśpieszony będzie miał więcej uczestników, miasto więcej gości, a mieszczanie... więcej zarobku.

Gdyby chciano święcić rocznicę śmierci Mozarta, sprawiłoby to kłopotu coniemiara. Jubileusz taki wymagałby złożenia wieńca na grobie, a tu tymczasem niewiadomo dotąd wcale, gdzie się ten grób największego z muzyków znajduje. Przepadł bez śladu na cmentarzu wiedeńskim, dzięki niezwykłej czułości wdowy po nieboszczyku, która potem wyszła za jakiegoś rangowego „bürgera" i drugiemu mężowi wystawiła bardzo suty monument. A tak biedny Mozart zginął bez śladu i pozostała mu tylko... nieśmiertelność!

Kim był, a raczej czem był ten twórca „Don Juana" — do dzisiejszego dnia pozostało zagadką. Najpewniej był wybranym, wypieszczonym przez Opatrzność duchem, któremu pozwoliła Ona przemawiać do ludzi mową aniołów. Rozprawia się o Meyerberze i Wagnerze, komentuje się Beethovena, rozpatruje się i wyjaśnia Bachów, Schumanów, Szopenów — ale Mozarta kocha się i uwielbia. Jeżeli są tacy, co nie odczuwają jego czaru, są to najniezawodniej półnatury ludzkie, zbłąkane ze świata amfibiów. Nigdy bowiem muzyka nie była tak bardzo sobą, tak siebie świadomą, tak szczerą a prostą i tak przez to wszystko zrozumiałą, jak u niego. Duch jej zostanie też niespożyty na zawsze, choć formy jego starzeć się będą. Wystarczy aż nadto, aby był strumieniem czystego natchnienia dla wszystkich mistrzów przyszłości...

Przez Mozarta zbliżyliśmy się do sceny, a przez Salzburg... do Schönthana, którego właśnie nową komedyą „Miłość wszystko może" odegrano na naszym teatrze. Bardzo to rzecz wesoła i poniemiecku... miękka. Jest też trochę i nudna. Ale zato w gruncie rzeczy poważna. Niemcy bez powagi ani rusz i z pewnością źle na tem nie wyjdą.

Tymczasem nasze ogródki odżywiły z biedy pamięć nieboszczyka Szobera, twórcy Józia Grojseszyka i Barnaby Fafuły, a jak chce pewien odłam krytyki warszawskiej, i nowego rodzaju scenicznego.

Ponieważ ta *nowość rodzaju* intrygowała mnie bardzo, więc usiłowałem się jej przyglądać bacznie, aby ją scharakteryzować i określić. Mój Boże, jakże to nędznie wygląda! Szober nie stworzył nic nowego — zepsuł tylko to co było dobrem, skrzywił co było prostem, gwoli łatwej produkcyi i łatwemu zarobkowi poziom sztuki obniżył do karykatury, oddał ją na poniewierkę tłumom, na śmiech niewybrednej gawiedzi. Ani jedna postać niewykończona, ani jedna sytuacya nienaturalna, ani jeden koncept niebanalny, ani jeden dowcip nie błazeński!...

Utwory te — *nowości rodzajowe* — nie były pisane bez talentu, który jednak wyżej sięgać nie chciał, zbierając po ulicznem błocie co się zebrać dało, z potrzeby, z biedy, z głodu. Ale cóż komu do tego! W dziejach literatury niema miejsca na filantropią, ani na pobłażanie, a faktem jest niezaprzeczonym, że ten *rodzaj nowy* zdemoralizował scenę i publiczność, stworzył setki epigonów-wyrobników, stanął wpoprzek drogi prawdziwej produkcyi literackiej.

Niestety, jest tak, a nieinaczej, pomimo *dobrotliwych* opinij przyjaciół i życzliwych! Szober nie zasłużył się wcale scenie, ani sztuce, nie stworzył nic nowego — nie należy go sztucznemi opiniami narażać na ten surowy sąd przyszłości, który przecież i bez tego nikogo nie ominie...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Bulwary warszawskie.** Projekt budowy bulwaru nad Wisłą, przez spółkę kapitalistów francuzkich reprezentowaną przez pana Devarsa, zdaje się zbliżać ku urzeczywistnieniu. Ostatnią modyfikacyą projektu, przedstawioną przez pana Devarsa, uznano za mogącą posłużyć za podstawę do dalszych, szczegółowych rokowań.

Według tego zmodyfikowanego projektu, bulwar ciągnąłby się na przestrzeni od mostu Aleksandrowskiego do młyna parowego na Solcu. Kapitaliści przygotowaliby zupełnie swoim kosztem teren, to jest wybrukowaliby ulice, zaprowadzili na nich kanalizacyą i wodociągi, a wzamian za to otrzymaliby wszystkie place miejskie na terenie bulwarowym leżące i przez lat 45 pobieraliby podatki od wszystkich domów wzniesionych na bulwarze. Po latach 45 pobór podatków przeszedłby na rzecz miasta. Pan Devars porozumiał się już ze spółką paryzką, która przedstawione przezeń propozycye również przyjęła w zasadzie. Idzie więc ostatecznie o porozumienie się co do szczegółów, które przedstawi jeszcze zapewne nie lada trudności, ale przy obustronnej dobrej woli do skutku dojść może.

Powtarzamy, że jedynem, zupełnie zadawalającem rozwiązaniem tej sprawy byłoby zbudowanie bulwaru swojskiemi kapitałami; ale ponieważ o tem ani marzyć niepodobna, nie dla braku kapitałów ale dla ich wstydliwości, ospałości i tchórzliwości, więc z dwojga złego wybierając, lepiej już niech go nam zbudują Francuzi, niż żeby Powiśle wieki jeszcze może pozostać miało tem, czem jest dzisiaj.

* **Zbytki**, na które tyle zasłużonych i niezasłużonych naciskano piorunów, nietyle ze strachu przed temi gromami, jak raczej ulegając twardej konieczności, która zmusza do liczenia się z groszem nawet tych, którzy dawniej nie uważali tego za rzecz potrzebną, a nawet przyzwoitą, ze sfer i miejsc w których dawniej gościły, przeniosły się gdzieindziej. W samej Europie, gdzie nawet władcy potężnych państw wzięli na oszczędność, jak tego dowodzi ostatnia podróż cesarza Wilhelma do Anglii, już tylko arystokracya (?...) pieniężna, to jest Żydzi spanoszeni, roztaczają, gdy im tego potrzeba, zbytek olśniewający.

Główną siedzibą zbytku stał się obecnie świat zwany „nowym," a mianowicie Ameryka północna. I to jeszcze zbytkują tam nie tyle arcymilionerzy tamtejsi, którzy, przyznać im to trzeba, umieją używać swych milionów na pożyteczne i uczciwe cele, ale zbytkuje przeważnie świat aktorski.

Niedawno temu zmarła Emilia Abott, śpiewaczka teatralna, bardzo popularna w Ameryce, która jednak nie warta była rozwiązać rzemyka u obówia naszym Pattim, Nilsonkom i t. d., zostawiła garderobę, którą oceniono na 300,000 dolarów. Nawet myśl o śmierci nie zdołała w niej poskromić żądzy marnotrawstwa, gdyż mocą testamentu sporządzonego notaryalnie kazała spalić zwłoki swoje, przybrane w białą suknię, w której występowała w „Ernanim," haftowaną perłami, przedstawiające mi wartość 5,000 dolarów. Ileż za te bezmyślnie zniszczone perły można było otrzeć łez w tym kraju milionerów i nędzarzy!

* **Pierwszą nagrodę**, wyznaczoną przez club Cobdena, za napisanie najlepszej rozprawy z dziedziny ekonomii politycznej, pozyskała kobieta, Wiktorya Jeans. Jest-to kierunek, w którym najrzadziej zwraca się umysł kobiecy, nie dlatego żeby on był dlań nieprzystępnym, ale dlatego że nie przypada do jego natury, która skłania go zawsze do pewnych ustępstw na rzecz serca. Tak bywało przynajmniej dotąd; dzisiaj może się to zmieniło, jak się zmieniło tyle rzeczy na świecie. W każdym razie zmianę tę zaliczylibyśmy do najmniej pożądanych.

* **Nagrody.** Na wystawie urządzonej podczas zjazdu lekarzy i przyrodników, który się w tych dniach odbył w Krakowie, następujący wystawcy z Warszawy uzyskali nagrody: dyplomy honorowe redakcye „Pamiętnika fizyograficznego" i „Gazety lekarskiej." Wielkie medale srebrne: redakcye „Wszechświata" i „Zdrowia," prof. Żurawski, Warszawskie laboratoryum chemiczne i Edmund Chrzanowski. Medale srebrne: Jan Dąbrowski, firma Trzciński, Urbanowicz i Różycki, „Leliwa" (Kordanowski), Adamczewski, F. Balukiewicz, doktór Heryng i Wodniakowski. Wielkie medale bronzowe: redakcye „Medycyny" i „Kroniki lekarskiej," H. Biertümpfel, Ed. Gessner, F. Kuśmierski, J. Rutkowski, Klaudya Sagalina i doktór K. Sękowicz z Białocerkwi. Publiczne podziękowania: Dyonizy Jastrzębowski i Michał Pik. Wreszcie dyplom uznania, poza konkursem, doktór Odo Bujwid.

* **Postęp fotografii.** Uczony francuzki Lippman, członek Akademii, po długich usiłowaniach i próbach otrzymał nareszcie zapomocą fotografii obraz widma słonecznego w siedmiu jego barwach zasadniczych. Od tego, do wynalazku sposobu otrzymywania fotografii wszystkich przedmiotów w barwach naturalnych, krok już jeden tylko.

* **Czasy ogórkowe.** Wprost przeciwnie powyższemu wynalazkowi, chyba ogórkowemi czasami wytłómaczyć sobie możemy pojawienie się w naszych pismach niby nowiny o projekcie pewnych panów zbudowania w mieście naszem halli koncertowej. Toć panowie owi, ci sami czy też coraz inni, nieprzymierzając jak kura z jajem noszą się od Bóg wie jak dawna ze swoim zamiarem, tylko miejsca sobie, a raczej swojej halli znaleźć nie mogą!...

G. Cz

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Annie Kozłowskiej w Horodyszczach. Dodatków powieściowych oddzielnych nie posiadamy. Powieść pod tytułem „Wprowadzona w wielki świat" była drukowaną przez ciąg cały kwartału II-go.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Іюля 1891 г.

Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.